

Bohdan Nielubowicz

b.nielubowicz@chello.pl

Sześć lat poniewierki

Wspomnienia Zbigniewa Szczepańskiego

www.sybiracy.centrix.pl

2004

Spis treści

| | |
|---|-----------|
| Wywózka..... | 3 |
| W transporcie na wschód..... | 6 |
| Nad Czującym..... | 9 |
| W łagrze i tajdze..... | 12 |
| Wigilia w Tajdze..... | 15 |
| Chłopiec opiekunem rodziny..... | 19 |
| Na Kubaniu i powrót do Polski..... | 22 |

Rozdział 1

Wywózka

Setki tysiące Polaków z obszarów Państwa Polskiego, zajętych w 1939 roku przez Armię Sowiecką wywieziono w głąb Związku Radzieckiego na wieloletnią poniewierkę i skrajną nędzę. W tych ciężkich warunkach bytowania zadaniem pierwszoplanowym było zdobycie środków do życia a w tym przede wszystkim chociażby minimalnej ilości pożywienia. Pozwalało to na przetrwanie i nędzną wegetację. Wielu zginęło z głodu i wycieńczenia oraz niehumanitarnej pracy, były wśród nich dzieci i ludzie starsi, ale ginęli również i ludzie w kwiecie wieku i pełni sił.

Mój były student, a następnie wieloletni współpracownik i przyjaciel Zbigniew Szczepański zamieszkiwał przed wojną wraz z rodzicami i młodszą siostrą w Jaworznie w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie ojciec Feliks był sztygarem w kopalni węgla kamiennego „Sobieski”. Dom ich był zasobny i syty. Zarobki pana Feliksa były wysokie, gdyż przedwojenne górnictwo polskie opłacało swych pracowników dołowych bardzo hojnie. Te spokojne i dostatnie bytowanie skończyło się nagle we wrześniu 1939 roku, kiedy to z dnia na dzień rodzina znalazła się w niekończących się kolumnach uciekinierów. Zbyszek miał wówczas 11 lat, a jego młodszą siostrą zaledwie 8.

Po trzytygodniowej, pełnej przygód wędrówce, rodzina Szczepańskich znalazła się w Kałuszu na południe od Lwowa, gdzie pan Feliks odbywał ongiś pierwszą praktykę górniczą i gdzie mieszkała jego rodzina. Na miejscu ojciec znalazł zatrudnienie w kopalni soli potasowych, a rodzina ulokowała się w skromnym pokoju z kuchenką i rozpoczęła względnie spokojną wegetację. Nikt nie chodził głodny a to było w tych czasach najważniejsze. Był to okres kilometrowych ogonków za chlebem, cukrem i tłuszczami. Kolejek pilnowały trójki lub szóstki krasnoarmiejców, które przy okazji wybuchających wśród kolejkowiczów burd i

awantur, zaprowadzali porządek, „ogałacając” przy sposobności ludzi z pieniędzy i zegarków.

Ta względna sielanka skończyła się nagle 23 czerwca 1940 roku, kiedy to do mieszkania wtargnęło w nocy NKWD i kazało się rodzinie natychmiast zabierać, gdyż jak oświadczone, ma ona być odesłana do miejsca stałego zamieszkania w strefie okupacyjnej niemieckiej. Tłumaczenie to nie przekonało Szczepańskich, gdyż wszystkim było dobrze wiadomo, że jest to wywózka na Syberię. Już zaraz po wkroczeniu Armii Radzieckiej, zaczęły się aresztowania i zsyłki. Jako pierwsi zostali wywiezieni byli wojskowi i policjanci, następnie urzędnicy państwowi jak i okoliczne ziemianstwo. Następnie zabrano się do sklepikarzy i kupców, czyli „spekulantów”, rzemieślników i za wolne zawody, a w końcu za uciekinierów. Był to systematycznie i konsekwentnie realizowany plan oczyszczenia przez Stalina terenów przygranicznych z elementów podejrzanych i niepewnych.

Szczepańskim pozwolono zabrać to, co się mieściło w rękach. Pan Feliks jako były jeńiec austriacki, który dostał się do niewoli rosyjskiej i spędził burzliwe dni rewolucji na Syberii, miał odpowiednie doświadczenie, polecił więc brać ciepłe koce, ubrania zimowe, oraz siekierę, czajnik, patelnię i spory garnek. Siekierę ukryto między kocami. W domu nie było prawie nic do jedzenia, zabrano ze sobą resztkę chleba. Nasza czteroosobowa rodzina została przewieziona na dworzec kolejowy i zamknięta w jednym z wagonów długiego zestawu pociągu towarowego. W wagonie tłoczyło się już ponad 30 osób.

Na szczęście całe miasto wiedziało już rano o nocnej brance i kto mógł, a szczególnie rodziny aresztowanych, niosły na dworzec, co kto mógł. Żołnierze nie bronili dostępu do wagonów. Zwalniało to administrację radziecką od uciążliwego zaopatrywania zesłańców w żywność przynajmniej na kilka pierwszych dni podróży. Nasza gromadka coś niecoś dostała do jedzenia od swych najbliższych. A jak było z innymi? – Różnie. W najlepszej sytuacji znalazła się rodzina miejscowego rabina, zajmująca cały dół pod półką Szczepańskich. Wyznawcy donosili i donosili worki z żywnością. Każda rodzina coś „załapała” lub dostała od innych, ale byli i tacy, których wepchnięto do wagonu tak jak stali w momencie aresztowania.

W trakcie trzymiesięcznej podróży na wschód wszyscy byli zmuszeni do szybkiego przejścia na wyłączny skromny wikt Państwa Radzieckiego. Lokomotywa zagwizdała przeciągle i długi wąż wagonów zwolna ruszył w kierunku Lwowa. Tu dołączono do zatłoczonego wagonu jeszcze jednego pasażera. Dwóch drabów doprowadziło pod karabinami starszego, szpakowatego pana, z dużymi wąsami a' la Piłsudski, i długimi nietypowymi włosami. Był w jesionce, z gołą głową, a pod pachą trzymał chałkę, taką sporą plecioną bułkę. Strażnikowi polecono odryglować drzwi, a następnie wepchnięto nieznanego do środka. Nowy pasażer stał na środku wagonu mrużąc oczy i starał się zorientować w mrocznym wnętrzu. Wtedy pan Szczepański zsunął się z półki, podszedł do nieznanego i powitał go słowami: „Witam panie doktorze, pan chyba znalazł się tu przez pomyłkę?” Rozpoznał bez trudu aresztowanego. Był nim Bolesławem Drobner, popularny działacz socjalistów polskich i przedwojenny członek Rady Naczelnej PPS. Drobner znalazł lokum na górnej półce obok naszej rodziny.

Podstawione wagony były to tzw. „tjpluszki” czyli 10 tonowe zakryte wagony towarowe, w prymitywny sposób dostosowane do przewozu 30 – 40 ludzi. W przejściu pomiędzy zasuwanyymi obustronnie drzwiami był ustawiony piecyk żeliwny, typu popularnej „kozy” z wyprowadzoną na dach rurą blaszaną. Nieco dalej była ubikacja w postaci ławki z otworem. Odchody i nieczystości wylewały się przez osłonę z blachy i otwór w podłodze. Po obu stronach przesuwanych drzwi były poziome półki. Zarówno na nich jak i pod nimi gnieździli się wywożeni ludzie.

Zrozumiałym jest, że pomiędzy stłoczonymi na małej przestrzeni ludźmi, dochodziło początkowo do pewnych napięć, jednak wkrótce wykształciła się wręcz nieoczekiwana solidarność lub serdeczna zażyłość, która niejednokrotnie przetrwała długie lata wspólnej poniewierki.

Rozdział 2

W transporcie na wschód

Długa droga, którą pokonywał pociąg, dostarczała ciągle nowych wrażeń a w tym i kulinarnych. Przydziały pożywienia składały się z jednego dania w ciągu całego dnia. Był to albo „szczy”, czyli wodnisty kapuśniak, albo kasza jaglana, polana dość obficie olejem rzepakowym. Olej ten doprowadzał niektórych do uczucia mdłości, ale po pewnym czasie wspomniano go z największą sympatią. Nie wszyscy chyba już pamiętają jak odrażający zapach a po części i smak miał ten prymitywnie lub wcale nie rafinowany olej. Pan Szczepański, jako były Sybirak, zorganizował szybko samorząd wagonowy. Wiedział, że trzeba będzie organizować donoszenie jedzenia, dzielić chleb, prowadzić rozmowy z kierownictwem transportu lub strażnikami. Został on też wybrany przez aklamacje na starostę grupy.

Po przybyciu do określonej stacji wydawano rozkaz: „obiad” a po otwarciu drzwi, wyskakiwało z każdego wagonu kilku ludzi z wiadrami i gnało do punktu zaprowiantowania. Zwykle do jednego wiadra fasowano kaszę, a do drugiego zupę lub wrzątek, popularnie zwany „kipiatok”. Ten ostatni był przeznaczony wyłącznie do konsumpcji. Taszczono również do wagonu worek z chlebem. Podział chleba był ceremoniałem, budzącym żywe emocje i najwyższe zainteresowanie wszystkich członków wspólnoty wagonowej. Nowo wybrany starosta krajał siedem chlebów na 37 porcji. Był to zabieg skomplikowany i wymagający doskonałego „oka”, a po części i intuicji. Niemniej wymagało to dokonywania dodatkowych korekt i kombinacji tak, aby wszystkie porcje były równe. Każdy kolejno wybierał dla siebie swój przydział. Ostatnie cztery były dla dzielącego i jego rodziny. Ale byli też i tacy, którzy przychodzili z reklamacją. Wówczas starosta mówił: „Tu masz jeszcze cztery porcje, więc wybieraj”. Delikwent zwykle oglądał je, oceniał na oko ich wagę, a potem często rezygnował z zamiany.

Podczas licznych i długich postojów na bocznicach kolejowych, do wagonów podchodzili miejscowi ludzie i ofiarowali różne towary do kupna lub wymiany. Oferowali albo suszony solony ser krowi, lub solone ryby. Czasami proponowano

jajka na twardo lub mleko w butelkach. Płacono rublami, lub srebrnymi monetami polskimi. Miały one ogromne wzięcie. Wartość nabywczą monet określano ich wielkością i tak np. za małą srebrną dwuzłotówkę proponowano jedną butelkę mleka a za większą monetę pięcizłotową – oferowano dwie butelki. Przedmiotem handlu, a raczej głównie wymiany była odzież przywieziona z Polski, która była w o wiele lepszym gatunku i odmienna od tej, która była dostępna na miejscu.

Wagon Szczepańskich podlegał krasnoarmiejcowi Wani Karakułowi. Było to wielkie drągowate chłopisko, chyba dwumetrowe, z dobroduszną gębą, z przymrużonymi zawsze i jakby opadającymi powiekami, no i z niedomykającą się nigdy paszczką. Był nieszkodliwy i właściwie lubiany przez naszych przesiedleńców. Gdy przytrafiło się, że go częstowano, wzbraniał się, bo nie było mu wolno czegokolwiek przyjmować, ale tak po cichu wrębał wciśnięty mu w rękę placek. Chodził z karabinem na ramieniu z zatkniętą piką, której wierzchołek kiwał się wysoko nad tłumem wysiadających z wagonów. Do jego obowiązków należało pilnowanie więźniów, wypuszczanych co pewien czas z wagonów. Nadzorował ludzi z kilku kolejnych wagonów. Baczył, aby się nie rozłazili i aby w momencie ruszania pociągu wszyscy już znajdowali się w swoich wagonach.

Na każdym prawie postoju, gdy dr Drobner zoczył tylko Wanię, gnał do niego, łapał go za pasek na wysokości swego nosa i tłumaczył bez końca, że on jedzie w tym transporcie przez pomyłkę. Żołdak ze stoickim spokojem wysłuchiwał tych zawitych dyskursów, wygłaszanych zresztą w koślawym polsko-rosyjskim żargonie, aż pewnego razu rozjaśniła mu się „lampa” - nagle dotarło do jego zakutej łepetyny, że ma przed sobą socjalistę. Dumny niepomniernie ze swych zdolności umysłowych i lingwistycznych stwierdził stanowczo: „Charaszo, ponił”, a ponieważ pociąg już miał ruszać a Wania przecież był odpowiedzialny za skompletowanie stanu osobowego więźniów, więc zakomenderował: „Nu dzidka socjalist, dawaj w wagon”. Jednak te molestowania musiały jakoś poskutkować, o czym naocznie przekonano się po przybyciu na Syberię.

Gdzieś w połowie września transport przekroczył Ural i po minięciu Nowosybirsk i Tomska zatrzymał się na ostatniej stacji linii kolejowej w Asino nad rzeką Czulymem, prawym dopływem Obu. Miejsce, gdzie wyładowano 2000

więźniów nie wyglądało zachęcająco. Poprowadzono ich nad rzekę na teren opróżnionego składowiska, gdzie wyciągano spławiane Czulymem drewno. Polecono spokojnie czekać, gdyż zaraz przyplyną „Parochody” i zbiorą ich w dalszą drogę w górę rzeki. Ta ogromna gromada ludzi pozostała na miejscu bez dachu nad głową i żadnych dalszych przydziałów żywności. „Naczalstwo” konwoju pocieszało ich, że zaraz przyjadą statki i wszyscy znajdą dach nad głową i ciepłą strawę.

Tu dopiero okazała się wartość zabranej z Kałusza siekiery. Nie czekając na szybki przyjazd statków Szczepański - senior z synem i jeszcze jednym z sąsiadów udali się do pobliskiego lasu, nacięli gałęzi i żerde. Jeszcze tego samego dnia powstał obszerny szałas, w którym pomieściła się cała rodzina i dr Drobner. Zgromadzona publiczność żywo i ironicznie komentowała te poczynania budowlane. Szczególnie sceptycznie nastawieni byli liczni Żydzi, którzy stanowili trzon wywiezionych z Kałusza reprezentantów „wolnych zawodów”. Wykrzykiwali: „Aj! Co pan wyprawia za cyrki panie Szczepański? Co pan budujesz tu takie budki – przecież pan komendant powiedział, że zaraz będą parachody.”

Gdy już wyjeżdżano z Asino, co nastąpiło jednak po dwóch tygodniach, to pozostawiono na brzegu rzeki całe miasteczko szałasów wykonanych siekierą naszej rodziny.

Rozdział 3

Nad Czującym

Sytuacja ludzi zgromadzonych nad brzegiem rzeki Czującym stawała się coraz tragiczniejsza. Pomimo, że pobudowano prowizoryczne szałas, nie było prawie, co jeść. Niektórzy łowili lub usiłowali łowić ryby. Sytuację ratowała możliwość przehandlowania części przywiezionej garderoby za żywność u miejscowej ludności. Trzeba jednak było jej mieć w nadmiarze. Ludzie wałęsali się z kąta w kąt nie wiedząc, co dalej będzie.

Nudę oczekiwania przerwało niespodziewane wydarzenie na tym syberyjskim odludziu. Oto pewnego dnia zawarczał silnik samolotu i zobaczono mały hydroplan, kierujący się na środek rozległych nurtów rzeki. Po wylądowaniu zaczął powoli podpływać w kierunku brzegu. Była to ogromna sensacja, wszyscy a szczególnie dzieci, rzucili się do samolotu. Okazało się, że był to „kukuźnik”, dwupłat z dobudowanymi pływakami. Wygramolił się z niego pilot i zszedł na brzeg. Zaczął rozpytywać się o naczelnika, ale gdzieś się zapodział, więc dalej rozpytywał się o niejakiego towarzysza Drobnera; miał tu podobno taki być. Ludzie postronni nie bardzo wiedzieli, o kogo chodzi, ale nasz Zbyszek, który już jako pierwszy dopadł samolotu i lotnika, obwieścił z triumfem, że Drobner jest w ich szałasie. Bardzo prędko sytuacja w pełni się wyjaśniła. W międzyczasie znalazł się i komendant. Pilot wylegitymował się i pokazał odpowiednie papiery, na podstawie, których zażądał wydania przesiedleńca Drobnera. Miał polecenie odstawić go do Tomsku. Sam bohater tego wielkiego zamieszania i nieoczekiwanej sensacji był niepomiernie szczęśliwy. Pożegnał się ze swymi opiekunami z wagonu. Powiedział do Szczepańskich: „No to do zobaczenia w Polsce”. Nikt tego poważnie nie potraktował. On sam nie wiedział, dokąd go zawiozą, ale zdawał sobie sprawę, że ustawiczne molestowanie Wani Karakułowa, a być może i naczelnika transportu, w końcu zaowocowało. Zaczął niezręcznie gramolić się na pływak hydroplanu. Przy pomocy pilota zajął tylne otwarte miejsce w dwuosobowym samolocie. Drobner pomachał ręką. Miał na głowie jakąś flanelową pilotkę. Bagażu nie zabierał żadnego, bo go prostu nie miał. Zawarczał silnik, hydroplan powoli oddalał się od brzegu;

dopiero na głębokiej wodzie wystartował i wkrótce znikł za najbliższą krawędzią tajgi.

Dopiero po dwóch tygodniach nadpłynęły oczekiwane jak zbawienie parostaki. Kolejno dobijały do brzegu. Były to duże jednostki rzeczne z bocznymi kołami łopatkowymi. Ładowano ludzi, a każdy z przesiedleńców otrzymał na okres podróży woreczek kaszy jaglanej i po jednym solonym łososiu. Lokowano się gdzie, się dało, z wyjątkiem kajut, zarezerwowanych dla normalnych pasażerów. Poszczególne rodziny okupowały zakryte przejścia i pomosty, ławki i każdą wolną, zasłoniętą od deszczu przestrzeń. Suchy prowiant gotowano w ogólnie dostępnej dużej kuchni.

Kilkakrotnie statki przybijały do brzegu, aby zaopatrzyć się w opał. Dorośli przesiedleńcy obojga płci dostali płócienne nosidła na plecy, do których ładowano okrągłaki drewna z sągów zgromadzonych na brzegu i po opuszczonym pomoście wnosili pod pokład. Zwykli pasażerowie nie byli zmuszani do noszenia opału.

Po pokonaniu w górę rzeki ponad 200 km, dobito do przystani śródlęsnego miasteczka Teguldet. Zarówno Asino jak i Teguldet można odszukać w wielkim atlasie PWN z 1964 roku. Po wysadzeniu na brzeg, znów nie było, co jeść i przez dwa dalsze tygodnie rozwożono przesiedleńców konnymi furmankami po najbliższych łagrach.

Nasza rodzina wylądowała dość szczęśliwie w obozie Czet w głębi tajgi. Uprzednio trzymano tu kryminalistów, więc łagier był w pełni zagospodarowany. Praca na miejscu polegała na wyrębie lasu oraz transporcie i obróbce drewna. Była nawet szkoła, do której natychmiast skierowano dzieci. Uczono je głównie języka rosyjskiego. W łagrze była stołówka, można tam było kupić grochówkę, w której często pływały prusaki, spadające z powały wprost do kotła. Podstawowym pożywieniem był chleb razowy. Otrzymywano jeszcze wysoką rację dzienną 800 gramów na pracującego i połowę dla niepracującego. Poza tym dostawano czasami landrynki zamiast cukru, od czasu do czasu przydzielano po pół litra oleju na rodzinę.

Z wiosną sytuacja żywnościowa o tyle poprawiła się, że skromne menu obozowe zaczęto uzupełniać darami tajgi, a więc jagodami i grzybami.

Z grzybami wiążą się tragiczne wspomnienia, gdyż na wiosnę niedożywieni i stale głodni ludzie zaczęli nagminnie zbierać i jeść grzyby. Były to smardze, ale prócz nich bardzo do nich podobne silnie trujące piestrzenice kasztanowate. Pomimo ostrzeżeń ze strony pana Szczepańskiego, nie rozróżniano grzybów jadalnych od trujących. W konsekwencji było 50 ofiar zatrucia grzybami. Zmarło w tym dużo dzieci, które piestrzenice jadły na surowo. Nikt z naszej rodziny nie zatrzał się, gdyż pan Feliks wprowadził żelazną zasadę, że wszystkie niepewne grzyby były gotowane z dwukrotnym odlewaniem wrzątku.

Rozdział 4

W łagrze i tajdze

W roku 1941 przyszła na świat druga córeczka Szczepańskich. Już pięć osób gnieździło się w komórce o powierzchni około 8 metrów kwadratowych. Na szczęście był w pomieszczeniu mały żeliwny piecyk, więc było ciepło.

Jak wykarmić niemowlę w trudnych warunkach syberyjskiego obozu pracy przymusowej? Na szczęście matka nie straciła pokarmu, ale jego ilość nie zaspakajała apetytu oseska. Jak więc zdobyć dodatkową ilość mleka? Jedyna krowa należała do naczelnika łagru. Dzięki koneksjom sąsiadki - Żydówki z żoną naczelnika, udało się kupować jedną szklankę mleka dziennie. Połowę dostawał synek Żydówki a drugą nasza mała Ania. Było to dokładnie 10 łyżek dziennie.

Zbieractwo runa leśnego i malin ogromnie urozmaicało menu obozowe i pozwoliło na gromadzenie zapasów. Czarne jagody dało się suszyć. Natomiast brusznice i żurawiny wystarczyło dobrze ubić w naczyniu z kory brzozonej. Na skutek dużej zawartości pektyny nie podlegały one fermentacji i doskonale przechowywały się przez wiele miesięcy. Spore ilości grzybów suszono i przechowywano również na „czarną godzinę” ciężkiej zimy syberyjskiej.

Malin było zatrzęsienie. Nie dało się ich konserwować bez cukru, dlatego jadło się je od razu. Zbyszek, wówczas już chłopiec 13 – letni, wybrał się pewnego razu do lasu na maliny. W pewnym momencie zaniepokoiło go podejrzenie, wyraźne ciężkie trzeszczenie w gęstym maliniaku. Przypuszczał początkowo, że to jeden ze zbieraczy, ale zaniepokoił się poważnie, gdy usłyszał głośnie ciamkanie i jakby sapanie. Szybko wdrapał się na wysoki pniak uciętego drzewa i zobaczył, dosłownie w odległości paru metrów od siebie, stojącego na tylnych łapach i zwróconego ku niemu olbrzymiego syberyjskiego brunatnego niedźwiedzia. Chłopiec stwierdził z przerażeniem, że jest sam na sam z groźnym królem tajgi. Gdy minęło pierwsze przerażenie i paraliż woli i nóg wywołany strachem, dał susa z pniaka i pognał wyciągniętym sprintem w kierunku łagru. Już prawie pełne wiadro malin zostało

porzucone na miejscu zdarzenia. Dopiero po dwóch tygodniach ośmielił się Zbyszek powrócić na miejsce niecodziennego spotkania. Widocznie „miś” skoczył jedynie do malin w wiadrze i nie miał specjalnej ochoty uganiać się za uciekinierem.

W grudniu 1941 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, Polacy dostali dokumenty Rządu Londyńskiego i uzyskali zezwolenie na opuszczenie łagru jako ludzie wolni. Radość była nie do opisania. Nasza rodzina natychmiast załadowała się na wynajęte sanie i pojechała do Teguldetu, gdzie w nocy poproszono o nocleg w pierwszej napotkanej chacie. Urządzenie się w tej małej, na wpół odciętej od świata miejscinie nie było łatwe. Ojciec z synem otrzymali pracę w LESPRAMTOR-gu, czyli przedsiębiorstwie państwowym, zaopatrującym faktorie leśne w żywność i narzędzia. Całymi tygodniami ojciec z synem wędrowali po leśnych odstępach tajgi, rozwożąc, kaszę, mąkę i inne produkty żywnościowe, oraz narzędzia, jak: piły, młoty, siekiery, itp. Jadło się to, co się miało na saniach, po prostu żyło się z tego, co się ukradło. Ale te drobne nadużycia, łatwe zresztą do wykrycia i dlatego nieco ryzykowne, nie mogły zaspokoić potrzeb żywnościowych całej rodziny. Nie cały czas było się w drodze. Racje podstawowe były tak małe, że nie dawały gwarancji przeżycia. Trzeba, więc było szukać różnych dodatkowych sposobów na przetrwanie. Jeden z nich objawił się w sposób jak najbardziej przypadkowy. Miało to miejsce jeszcze w Kałuszu, gdzie pan Feliks w przerwie gry w tysiąca, postawił tamtejszej gospodyni, jakiegoś sobie tylko znanego, wróżebnego pasjansa. Przypomniano sobie o tym w Teguldecie. Tu na miejscu zapotrzebowanie na wróżenie było ogromne. Przecież setki kobiet drżało o życie swych mężów i synów gdzieś tam daleko na froncie. Każdy dłuższy brak korespondencji budził lęk i potrzebę szukania wsparcia u wróżbity. Tak, więc senior naszej rodziny, idąc za ogólnym zapotrzebowaniem, rozpoczął cichaczem działalność wróżebną. Prędko rozniosła się wiadomość o umiejętności naszego bohatera, który zdobył wkrótce opinię „worożeja” Teguldetu i okolicznych faktorii leśnych. Nikogo to nie interesowało, że był górnikiem z zawodu. Sama osobowość pana Feliksa, człowieka łagodnego, jowialnego, plus liczące się umiejętności odgadywania przyszłości, zyskała mu tyle sympatii i popularności, że stał się przedmiotem zainteresowania miejscowego NKWD. Pod względem prawnym wróżenie i podobne praktyki były zakazane, bo to było oszukiwanie naiwnych ludzi, szerzenie zakazanego mistycyzmu, jakieś kuglarstwo i dezinformowanie ludności. Ale kiedy sędzia rejonowy a następnie komendant NKWD natrafili na trudne do

rozwikłania zagadki kryminalne lub inne, zaczęli szukać kontaktów z „worożejem”. Postawa taka wydawała się być w pełni zrozumiała, bo np. kiedy okazało się, że zginęła krowa a wróżbita powiedział, że: „trzeba poczekać to się znajdzie” i krowa się znalazła, ale zjedzona przez niedźwiedzia – to jak tu nie wierzyć wróżbicie? Władcy miasteczka sami nie przychodzili do Szczepańskiego, ale wysyłali do niego żonę lub matkę. Na tej zasadzie zaistniał jakby pakt o nieagresji. Wróżbita nigdy nie żądał wynagrodzenia za swe usługi – przyjmował jedynie, co łaska. Wykorzystał głęboko zakorzeniony miejscowy przesąd, że aby się wróżba spełniła – koniecznie trzeba coś dać „worożejowi”. Przynosili, więc, co kto miał: jajka lub butelkę mleka, trochę ziemniaków w chustce, jakiegoś owsianego chleba. To wsparcie wystarczyło, aby rodzina przetrwała najtragiczniejsze chwile 1943 roku.

Rozdział 5

Wigilia w Tajdze

Osiedle otaczała tajga, porozdzielana – nieprzebytymi w lecie – bagnami z niepoliczalnymi miliardami komarów.

Gospodarstwa rolne znajdowały się w rejonach gęściej zamieszkałych, lecz niektóre z kolchozów wypalały w obrębie tajgi tzw. „gary”, czyli mniejsze lub większe polany, na których usiłowano uprawiać zboże i ziemniaki.

Początkowo zaorywano ziemię wśród sterczących po pożarze pniaków. Z czasem butwiały one, co pozwalało na powiększenie zaoranego pola. Corocznie oddelegowywano z poszczególnych kolchozów grupy pracowników, którzy w czasie robót polnych koczowali na wypalonych „kulstanach”. Ludzie powracali do stałego miejsca zamieszania po ukończeniu prac sezonowych.

Plony zwożono zwykle dopiero po pierwszych mrozach i śniegach, gdy drogi stawały się przejezdne dla sań. Na miejscu pozostawiano jedynie ziarno siewne na rok następny.

Przechowywano je w prymitywnych magazynach z bierwion. Zboże to wymagało stałej opieki i zabezpieczenia przed gryzoniami.

Ze względu na nędzę i brak żywności pan Feliks Szczepański zatrudnił się w 1943 r. jako stróż magazynu zbożowego w kulstanie, odległym o dzień jazdy konnej w głębi tajgi. Należał on do kolchozu „Krasnaja Zaria” ze Starego Akbaszowa i LESPRAMTOR-gu. Pracę tę dzielił z 14-letnim synem Zbyszkciem. Zmieniali się co miesiąc. Jako mieszkanie wykorzystywali małą chatkę na skraju polany – przy wielkich bagnach. Praca była prosta - należało doglądać ziarna, szuflować je co pewien czas, a także odławiać szczury i myszy, pchające się wszystkimi dziurami. Szczury wyrastały na schwał – jak koty. Ogromnym plusem pracy w kulstanie

okazała się możliwość wyżywienia na miejscu i pozostawienia swych głodowych przydziałów chleba rodzinie w Teguldecie.

Stróżowanie w grudniu 1943 roku przypadło na Zbyszka, ale ponieważ zbliżały się Święta, ojciec obiecał przyjechać do niego w Wigilię. Chłopiec z niecierpliwością i utęsknieniem wyczekiwał taty – nie było żadnego kalendarza, więc liczył upływające dni po nacięciach, wykonanych nożem na belce. Za towarzysza niedoli miał małego rudawego kundelka, który razem z nim tkwił na tym pustkowiu.

Akurat tuż przed Bożym Narodzeniem spadły wielkie śniegi, połączone z zawiejami: drogi leśne i dróżki myśliwskie stały się trudne do przebycia. Zbyszka wyposażono w jednostrzałowy prymitywny karabin tzw. „bierdanke” i trochę amunicji. Chłopak bobrował więc po tajdze za jarząbkami (zwanymi tu „riabczykami”) i cietrzewiami. Jarząbki – były to piękne nieduże, pstro ubarwione ptaki podobne z wyglądu i wielkości do kuropatw. Koguty cietrzewi z brunatno-czarnym ubarwieniem, ogonem w kształcie liry i czerwoną brwią, bywały najwspanialszą ale nie najczęstszą zdobyczą Zbyszka. Wielkie opady śniegu uniemożliwiały polowania – zawiodła więc nadzieja na zdobycie dziczyzny. Wieczorami Zbyszek szlifował rosyjski, czytając znaleziony na miejscu strzęp książki – resztki sprawozdania Konferencji Partyjnej Resortu Rolnictwa ZSSR z roku 1936.

Nie było ani kropli nafty i czytanie odbywało się przy łuczywie. Zapalek również brakowało – ogień rozniecał Zbyszek krzesiwem. Jeszcze po ponad 50 latach zachował on umiejętność błyskawicznego posługiwania się tym archaicznym urządzeniem (potrzebny jest tylko nieco nadwęglony knot bawełniany, kawałek zaostrzonego krzemienia i specjalnie uformowany kawałek stali).

Nacięcia na belce wskazywały, że jest już 24 grudnia i że należy oczekiwać przybycia ojca. W okresie zimowym dzień szybko mijał, jako że słońce wschodziło pomiędzy g.10 a 11, a zachodziło około g. 4 po południu. Wyłaniało się ono zza wierzchołków najwyższych drzew i po przemierzeniu niskiego łuku, kryło się za następnymi. Zrobiło się ciemno, gwiazdy pojawiły się na niebie, a ojciec nie przyjeżdżał.

Zbyszek zapalił łuczywo i umieścił je w pobliżu okienka – tak by światło wskazywało drogę do chaty. Stała ona bowiem na końcu przestrzeni otwartych pól, widocznych z drogi wiodącej z Teguldetu. Godziny mijały jedna za drugą, aż Zbyszek usłyszał ciężkie skrzypienie kroków na zamrożonym śniegu. Doświadczenie starych Sybiraków doradzało dużą ostrożność, gdyż zdarzały się wypadki, że nagle przebudzony niedźwiedź opuszczał gawrę i – w poszukiwaniu pożywienia – nawiedzał osiedla ludzi.

Zbyszek porwał ze ściany fuzję, drżącymi rękami wprowadził nabój do zamka i zawołał: „Kto idzie?”. Pod czupryną latały niespokojne myśli: „Jeżeli nikt nie odpowie – to niedźwiedź - wtedy wypalę przez okno”. Ale na szczęście usłyszał wołanie ojca: „Otwieraj, to ja”. Tato z trudem wgramolił się do izby. Był półżywy, ośnieżony i oblodzony do pasa. Okazało się, że sanie z koniem utknęły w zaspach parę kilometrów przed polaną kulstanu i pan Szczepański mozolnie brnął przez śniegi i zasy. Dopiero następnego dnia doprowadzili konia. Pozostawiając go na noc w tajdze pan Szczepański okrył go jedliną i sianem, dlatego przetrwał szczęśliwie mroźną noc syberyjską.

Gdy ojciec nieco „odtajał” i przyszedł do siebie, zabrano się do przyrządzenia skromnej wieczerzy. Szczepański – senior przytaskał nieco placków, upieczonych na blasze przez żonę, z dodatkiem „koricy”, czyli przyprawy cynamonowej, którą można było kupić w sklepach osiedlowych (po co komu cynamon, gdy nie ma mąki?). Przywiózł też ze sobą nieco przydziałowego chleba

Zbyszek miał przygotowaną bańkę ugotowanej pszenicy siewnej, która posłużyła do przyrządzenia tradycyjnej „kutii”. Cukru naturalnie nie było, ale danie to udało się posolić, gdyż ojciec miał ze sobą szczyptę – bezcennej na Syberii soli.

W chacie było ciepło i przytulnie. W piecu buzował ogień z dużego polana. Pies kręcił się z przejęciem pod nogami. Obaj panowie przełamali się razowcem i zasiedli do skromnego stołu wigilijnego. Myślami byli z rodziną pozostawioną Teguldecie, a marzeniami – w odległej i jakby nierealnej Polsce.

Posłowie autorskie: Wigilia wśród dalekiej tajgi odbiegała od utrwalonej przez Jacka Malczewskiego „Wigilii Wygnańców”. Ale w obu przypadkach można się

dopatrzeć polskiego przywiązania do tradycji chrześcijańskiej i akcentowania głębokich więzów rodzinnych.

Rozdział 6

Chłopiec opiekunem rodziny

Podczas pobytu w Teguldecie dotarła bulwersująca wiadomość o tworzeniu Polskiej Armii, podległej Emigracyjnemu Rządowi w Londynie i formującej się nad Wołgą w Uzbekistanie i Kirgizji. Jakikolwiek nadzieje na przedostanie się do Korpusu Andersa były pozbawione wszelkiego powodzenia. W tym celu trzeba było zdobyć środki na przejazd około 130 km saniami do najbliższej stacji kolejowej w Mariinsku i dalej na pokonanie koleją ponad 3000 km na południowy zachód. Rodzina składała się z pięciu osób a w tym dwojga nieletnich dzieci.

Kiedy Armia Andersa opuściła ZSRR, unieważniono Szczepańskim obywatelstwo polskie i zmuszono do przyjęcia radzieckiego. W międzyczasie otrzymali dokumenty Związku Patriotów Polskich w Moskwie. W tym samym roku, to jest w 1943, pan Feliks zgłosił się do Armii Berlinga, a reszta rodziny została sama w Teguldecie. Pomimo obecności matki, piętnastoletni Zbyszek poczuł się odpowiedzialny za dalsze losy pozostałej rodziny. A działo się coraz gorzej. Poza nikłymi przydziałami chleba nie otrzymywano żadnych dodatkowych produktów żywnościowych. Zbyszek i matka znaleźli zatrudnienie w jednym z lokalnych kołchozów, o nazwie „Pierwomajski”. W kołchozie była straszna nędza, gdyż dla potrzeb wojska i głodującej ludności zbierano dosłownie wszystko „pod miotłę”. Pozostawiano tylko taką ilość zboża, która pozwalała na przydział minimalnych racji dziennych chleba dla pracowników. Był to ciężki razowiec, z dodatkiem wytłocznyn z ziemniaków. Niemniej uważano go za wielki rarytas. Czasami udawało się kupić mleka, a od czasu do czasu Zbyszek zdołał ukraść z magazynu i wynieść w kieszeniach kilkanaście garści zboża. Mielono go na prymitywnym młynku na kaszę lub mąkę. Młynek sporządził Zbyszek według własnego pomysłu. Podstawowym elementem mielącym była puszka po konserwie mięsnej, gęsto perforowana gwoździem. Z mąki matka robiła tzw. „lepioszki”. Były to placki pieczone na blasze. Do mąki dodawano gotowane ziemniaki, a na wiosnę lub w lecie - sparzoną lebiędę lub pokrzywy. Czasami udało dosypać do ciasta trochę kaszy lub krup. Dokuczliwym był brak soli. Była ona tak droga, że trudno było nawet marzyć o jej kupnie. Ceną

przewyższała olej lub i tytoń. Radzono sobie w ten sposób, że wydawano z magazynów zupełnie zdrewniałe, brązowe, chyba kilkunastoletnie solone ryby. Nie pachniały one zachęcająco. Ryby te tłuczono w moździerzku na proszek i posypywano nim np. kartofle. Stosunkowo łatwo było kupić ziemniak, w zimie zawsze zamrożone. Ceny były jednak odpowiednio wysokie. Za worek zamrożonych ziemniaków dano złotą kieszonkową omegę, którą ongiś pan Feliks dostał w prezencie od żony. Jako ostatnią rzecz z kraju, pani Szczepańska sprzedała swe futro selskinowe, poszło za pud (16 kg) owsa. Jak można było inaczej zdobyć nieco jedzenia? Przez jakiś czas Zbyszek pomagał łowić ryby a ARTELU, czyli spółdzielni rybackiej. Śniadanie rybaków wyglądało tak: Przed wyciągnięciem sieci z przerebli, jeden z rybaków wieszał spory kociołek nad ogniem i gotował wodę. Jak wyciągnięto sieć z pod lodu, to pierwsze wiadro ryb szło prostu do wrzątku. Za chwilę ryby były ugotowane. Jedzenie było bardzo proste, trzeba było wziąć rybę za ogon, zgarnąć łuski i objeść koło grzbietu i ogona, resztę wyrzucano. Luksusem było, gdy któryś z rybaków miał szczyptę soli.

Jak już nam wiadomo z opisu Wigilii w tajdze, Zbyszek posiadał prymitywną jednostrzałową strzelbę tzw. „berdankę”. Dubeltówki mieli tylko prominenci, jak sędzia, komendant NKWD i pierwszy sekretarz partii.

Istniała specjalna organizacja, coś w rodzaju naszego dawnego „PEWEKSU”, tzw. „SIPUSZNINA”, która dawała unikalne towary za futra dzikich zwierząt. I tak: za skórkę popielicy I klasy można było otrzymać 5 rubli, pół kg żytniej mąki razowej oraz prochu i śrutu na dwa naboje (dla porównania – 1 litr mleka kosztował wówczas 20 rubli). Za gronostaja I kl. Można było otrzymać 20 Rb, 2 kg mąki żytniej, ale bez amunicji, bo łapano je na sidła. Za białego lisa polarnego 30 Rb, 2,5 kg mąki żytniej, 2 naboje i śrut. Natomiast za zająca „bielaka” oferowano 10 Rb, pół kg mąki żytniej i 10 dag cukierków. Była to zachęta dla dzieci, które trudniły się łapaniem zajęcy na wnyki.

Cukru było mało i był drogi, dlatego trzeba było nim gospodarować bardzo oszczędnie. Do lokalnego fasonu towarzyskiego należało wypić 6 szklanek herbaty przy jednej kostce cukru, wsuwanej pomiędzy zęby a policzek. Na znak, że się ma dość, wyjmowano z ust resztę kostki i ostentacyjnie kładziono na dno odwróconej

szklanki. Herbata była również wielkim rarytasem, trudnym do zdobycia, bardziej dostępny był tzw. „kirpicz”, czyli cegła. Była to kostka sprasowanej i uprzednio drobno zmielonej herbaty wymieszanej z krwią barania. Bardzo cenili ją myśliwi. Zabierali ją na swe dwumiesięczne wyprawy w tajgę - czas polowań na popielice. Myśliwy łądował do swego worka: proch, śrut, kirpicz herbaty i jak się dało również sól. Nad wrzątkiem skrobał nożem kostkę i wkrótce naparzała się smaczna herbata, a ścięta alumina z krwi baraniej opadała na dno nie zmieniając smaku napoju.

Jak wspomniano uprzednio, kołchoz w Teguldecie był strasznie ubogi. Głodowali nie tylko ludzie ale i konie. Zostawiano im do jedzenia jedynie liche siano. Zwierzęta te były jedyną siłą pociągową w gospodarstwie, więc jakoś trzeba było ratować je przed głodem. Poradzono sobie w ten sposób, że stopniowo spasano końmi grube poszycie słomiane dachu nad stajnią. Do wiosny zostawały jedynie gołe żerdzie. Potem dachy pokrywano po zbiorach nową warstwą niewymłóconej słomy owsianej. Z nastaniem zimy proceder powtarzał się znowu. Był to dodatkowy zakamuflowany magazyn bardziej treściwej paszy dla koni.

Rozdział 7

Na Kubaniu i powrót do Polski

Z początkiem 1944 roku Szczepańscy, jako rodzina oficera Armii Kościuszkowskiej, została przesiedlona z Teguldetu do odbitego z rąk niemieckich sowchozu „Timaszowski Sowchoz” w rejonie Krasnodaru nad Kubaniem na Przedkaukaziu. Znaleźli się w zupełnie innym świecie. Były to płaskie, nadzwyczaj urodzajne stepy, ośrodek uprawy pszenicy, słonecznika, kukurydzy i konopi. Zbyszek znalazł zatrudnienie jako traktorzysta i kowal. Sytuacja żywnościowa zmieniła się również diametralnie. Nie tylko, że w porównaniu z wygłodzoną Syberią było, co jeść, ale nadto tu odżywiano się całkiem odmiennie. Podstawą pożywienia była pszenica, kukurydza oraz kawony i melony. Chleb dostawało się w dalszym ciągu na kartki, ale wyłącznie kukurydziany. Pszenicę reglamentowano, ale wobec jej obfitości i braku zbyt rygorystycznych kontroli, po cichu wszyscy ją rozkradali. Jedzono ją i karmiono zwierzęta w gospodarstwach przyzagrodowych. Zresztą w samym sowchozie panowało ogromne rozprężenie i marnotrawstwo. Gdy kombajnowi zbożowemu nie podstawiono na czas ciężarówki, kombajnista bez specjalnych wyrzutów sumienia sypał zboże na ziemię. Na wiosnę napotymano potem na polach kopce wyrosłej i nadgniłej pszenicy, sterczące ostentacyjnie wśród niezaoranych jeszcze ściernisk. Zbyszek wyspecjalizował się w produkcji młynków do mielenia ziarna, oraz produkcji biżuterii damskiej z mosiądzu. Cieszyła się ona dużym powodzeniem wśród krasawic kozackich. Zbywał ją w handlu wymiennym za słoninę.

Podstawowym daniem miejscowej ludności był zmodyfikowany po kozacku barszcz ukraiński. Przygotowywano go z buraków ćwikłowych i innych drobno pociętych jarzyn, z dodatkiem cebuli i ostrej papryki. Była to bardzo pikantna zupa, czasem z pływającymi w niej kawałkami mięsa i zaprawiona śmietaną. Podawano do niej gruboziarnistą kaszę kukurydzianą, prażoną na sucho i sypko. Łyżką nabierało się kolejno raz barszczu a raz kaszy. Było to doskonałe wysokokaloryczne nadzwyczaj smaczne danie. Wśród Kozaków kursowało powiedzenie: „Barszcz i kasza piszczą nasza” (piszczą – pożywienie).

„Mohoricz”, czyli samogon pędzono w z rozgniecionych ziaren kukurydzy. Miał on barwę żółtawą, niezbyt przyjemny smak, czasami zalatywał spalenizną. Natomiast ogromnym powodzeniem, szczególnie wśród młodzieży, cieszyła się tzw. „braszka”. Brało się duży dojrzały kawon. Wycinało się w nim czworokątny klin i mieszało dokładnie mięszsz patykiem lub jakimś innym, odpowiednim narzędziem. Dobrze było, jeśli można było dosypać garstkę chmielu. Zatykano arbuż wyciętym uprzednio klinem i zakopywano płytko do ziemi na dwa tygodnie. Naruszony mięszsz przefermentowywał. Duży kawon dostarczał 3 – 4 litrów musującego, alkoholizowanego napoju, coś w rodzaju piwa.

W najbliższym miasteczku, położonym nad rzeką Kubań, można było kupić na bazarze wiele produktów żywnościowych. Największą atrakcją były wielkie raki rzeczne. Były, co najmniej, dwukrotnie większe niż nasze, kosztowały grosze, gdyż ugotowaną, czerwoną sztukę sprzedawano za dwa ruble.

W kolchozie doczekała się nasza rodzina końca wojny. Z tej okazji przewodniczący sowchozu kazał wytoczyć z magazynu beczkę „mohoriczu”. Wcześniej zapowiedziano, że wszyscy mają się stawić na majdanie zabierając ze sobą kubek i coś na zagryzkę. Przewodniczący wspiał się na skrzynkę, na której stała beczka i wygłosił stosowne, krótkie przemówienie. Następnie sprawnie odbito pokrywę beczki i każdy podchodził ze swym garnuszkiem. Przewodniczący osobiście nalewał każdemu samogonu. Nasz Zbyszek, już 17-to letni chłopak dostał stosowną porcję i wypił – film mu się urwał natychmiast. Obudził się dopiero rano i zobaczył przed swoim nosem wielki czarny kształt. Okazało się, że to podeszwy butów leżącego obok niego przewodniczącego.

Z początkiem lutego 1946 roku zapakowano rodzinę Szczepańskich do pociągu i już w innych nastrojach i z innym doświadczeniem ruszono w kierunku Polski. Podróż trwała 3 tygodnie. Jechano przez Ukrainę, Lwów, Przemyśl do Katowic.

Od roku Feliks Szczepański był w tym mieście przedstawicielem władz od organizacji transportu węgla ze Śląska. Jako były kościuszkowiec szybko awansował w upaństwowionym sektorze górniczym. Mieszkał w apartamencie w hotelu Polonia w Katowicach. Do tego właśnie apartamentu zajechała z szumem nasza rodzina.

Wszyscy byli jednakowo obuci w buty sporządzone przez Zbyszka, wszyscy byli również ubrani we wdianka z kradzionych worków, zgrabnie pozszywanych przez matkę. Na dworzec wysłano urzędnika z Urzędu Górniczego w Katowicach, bo ojciec chwilowo był w ważnej delegacji służbowej. Zaszokowany widokiem rodziny swego pryncypała, nie wiedział, co począć, bo zajechał pod dworzec czarną limuzyną i trzytonową bagażówką. Zbyszek uparł się jechać ciężarówką wraz ze swymi skarbami, które taszczył przecież z samego Kubania. A były to: dwa worki pszenicy, baryłka z soloną słoniną oraz skrzynka z narzędziami ślusarskimi i kowalskimi. Po zajechaniu samochodem przed hotel Zbyszek nie pozwolił nikomu tknąć swego bagażu, tylko osobiście wniósł go na pierwsze piętro hotelu. Cały personel i przygodni goście hotelowi zbiegli się popatrzeć na tego osobliwego gościa i jego zdumiewające bagaże.

Tak zakończyła się sześćioletnia tułaczka rodziny Szczepańskich po dalekich ostępach syberyjskiej tajgi i stepach Kubania. Potem przyszła Wielkanoc, pszenicę zjadły kury znajomych, słoninę zużyto w kuchni a narzędzia przydają się do dziś.